

I Pierwszy raz

Nigdy nie lubiłem i nie lubię wstawać wcześniej rano. Jestem raczej „nocnym markiem”, dlatego też dość długo trwało pukanie do moich drzwi pewnego październikowego poranka. Wkrótce jednak natarczywe dobijanie zmusiło nas do podejścia do drzwi i otwarcia ich, po stwierdzeniu, że stoi za nimi policja. Zaraz też nastąpiło „wejście smoka”, na moich rękach znalazły się kajdanki zapięte za plecami i grupa smutnych panów rozeszła się po mieszkaniu, skutecznie dobudzając żonę, mnie i trójkę dzieci. Przeszukanie było pobieżne, ale formalności trwały kilka godzin, potem nastąpiła podróż na komendę policji, gdzie przejęli mnie policjanci z Kielc i udaliśmy się w krótką podróż Katowice–Kielce. Ponieważ niezbyt mnie interesowała rozmowa z policjantami (a raczej namawianie mnie do składania zeznań), prawie całą drogę drzemałem, lekko sobie pochrapując. Po przyjeździe na miejsce udaliśmy się do prokuratury, gdzie odbyło się pierwsze przesłuchanie. Na początku prokurator był łaskaw przedstawić mi dwa zarzuty i spytał, czy je rozumiem? Cóż było robić, przecież znam język polski i nie powinienem mieć żadnych problemów z czytaniem i zapamiętywaniem tekstów (to wchodzi w zakres nauki w podstawówce). Drugi zarzut był jednak tak zagmatwany (chodziło o uczestnictwo w grupie zorganizowanej), że powiedziałem, iż właściwie to nie za bardzo go rozumiem i że nie wiem, o co w nim chodzi. Na to prokurator odrzekł był, że to jest właśnie cała „sztuka prokuratorska”, żeby coś takiego wyrazić. No, wtedy po raz pierwszy opadła mi szczeka. Zaraz potem, kiedy dowiedziałem się, że dowodem na to są billingi telefoniczne rozmów z głównym podejrzanym przeprowadzone

pół roku po domniemanym przestępstwie (dowiedziałem się jednak szybko, że skoro później tak dużo rozmawialiśmy, to i wcześniej musieliśmy rozmawiać, tylko że z innych telefonów, i już – sztuka prokuratorska), wtedy drugi raz opadła mi szczeka i zacząłem powolutku przeczuwać, że może być źle. Złożyłem zeznania i udałem się „na dołek”. Nazajutrz prokuratura przeprowadziła konfrontację z innym oskarżonym, który, jak się okazało, mnie w tej sprawie zakablował. W niewielkim pokoju siedział przy biurku prokurator, w dwóch przeciwnych rogach siedzieliśmy my, a przy nas dwóch antyterrorystów z bronią gotową do strzału! Wtedy już byłem raczej pewny, że jest źle. Gdzie ja, biedny księgowy, w takim towarzystwie? Oczywiście nasze zeznania się różniły (choć nie tak bardzo) i prokurator zdecydował się, że złoży wniosek o zastosowanie sankcji przeciwko mnie. Pamiętam, z jakim respektem, a raczej obawą podawano mi wszystkie dokumenty do podpisu! Nadzieja jednak umiera ostatnia: „grozi mi do trzech lat więzienia, jestem niekarany, o nieposzlakowanej opinii, mam dużą rodzinę na utrzymaniu, prowadzę własną firmę, przecież nie wlepią mi aresztu” – tak sobie myślałem.

Do sądu transportowali mnie w dalszym ciągu antyterroryści i wszędzie prowadzili mnie, stosując chwyt z tyłu, tak że głową szorowałem prawie po posadzce korytarza. Sędzia odroczył sprawę o dwadzieścia cztery godziny, bo chciał się zapoznać z aktami. „Dobrze jest” – pomyślałem. Na następny dzień, kiedy przedstawiałem swoje argumenty i schodziliśmy na przerwę, nawet antyterroryści założyli mi kajdanki z przodu, mówiąc – „ciebie na pewno nie zamkną”. Niestety, to nie były autorytety w tej sprawie, sędzia postanowił, że powinienem następne trzy miesiące spędzić w odosobnieniu i troszeczkę odpocząć. Nie chcę w ogóle wspominać czy mówić o reakcji rodziny, ani teraz, ani potem, ale poczułem uderzenie jak obuchem w łeb (teraz już wiem, co to naprawdę znaczy). Wróciliśmy na dołek (już ręce z tyłu i dwa chwytty za ręce od dwóch różnych antyterrorystów), dopiero nazajutrz wsadzono mnie wraz z kilkoma innymi pasażerami do samochodu i rozpoczęła się krótka podróż na Piaski. Ponieważ, jak zrozumiałem z rozmów, wszyscy

już chyba nie pierwszy raz tam jechali i raczej się znali, zwrócili się z pytaniem do mnie:

- Jak się nazywaś?
- Darek Muchomor – odparłem zgodnie z prawdą.
- I zapadła cisza, taka długa, dość znacząca.
- A skąd jesteś?
- Z Katowic.
- A masz brata?
- Tak.
- A jak ma na imię?
- Wojtek.
- A masz tu jakąś rodzinę?
- Nie.
- Na pewno?
- Na pewno.

I koniec dialogu. Już nikt więcej nie zadawał mi żadnych pytań. Nie wiedziałem, o co chodzi, nie wiedziałem, jak się zachować, nie wiedziałem nic. Martwiłem się, jak sobie tam na wolności dadzą radę beze mnie i co w ogóle będzie się działo. Zaraz jak zamknęła się za nami brama, rozdzielono nas i każdy udał się do innego pomieszczenia. Zadawano mnóstwo pytań, dość dokładnie przeszukano (udało mi się przemyścić sto złotych), zaopatrzone we wszystkie potrzebne rzeczy do życia (według władz więziennych) i udałem się do tak zwanej celi przejściowej. Z tej celi utkwil mi w głowie tylko jeden osadzony, miał ze sobą wszystko, łącznie ze swoimi łyżkami i talerzami, i wszelkimi innymi tego typu akcesoriami (obecnie jest to zabronione) – ukrywał się kilka lat i w końcu chyba sam się zgłosił, by odsiedzieć wyrok, z tego, co pamiętam, chyba trzy i pół roku za udział w bójce ze skutkiem... On wydawał mi się (i nadal wydaje) taki zupełnie nierzeczywisty w tym miejscu – miał wszystkie rzeczy jak na wolności, a znajdował się w tak obskurnym miejscu – kontrast był nieprawdopodobny.

Na początku udzielono mi kilku lekcji dotyczących zachowania się pod celą. Teraz widzę, jakie miałem wtedy szczęście, że był taki (spokojny), a nie inny skład pod celą. Przesiedziałem tam przez

pierwsze dwa tygodnie mojego pobytu, przyznam się, że poza tymi talerzami z duraleksu nic nie pamiętam. Wprawdzie dowiedziałem się, że są grypsujący, frajerzy i cwele, ale nie wyraziłem chęci do grypsowania (do tej pory nie wiem, czy dobrze, ale jest już za późno) i poza wszechogarniającą nudą nie działa się nic. Cały czas abstrahuję od moich uczuć i myśli o rodzinie, pobycie w tym miejscu i tym podobnych sprawach. Ale... chyba w godzinę po wejściu do celi wpadli po mnie strażnicy. Okazało się, że odkryli brak stu złotych (zadeklarowałem większą kwotę na „dołku”, a oni porównali dokumenty). Na szczęście udało mi się szybko i polubownie załatwić oddanie tej kwoty, tyle tylko, że w całości znalazła się ona w tzw. „żelaznej kasie” (o co miałem później jeszcze jedną scysję ze służbami księgowymi). Na przejściówce nie można iść do biblioteki, nie ma nic do czytania, nie ma telewizora, nie ma nic. Przychodzisz w jednych ciuchach i chodzisz w nich dwadzieścia cztery godziny na dobę, bo nic ci nie przysługuje. Już trzy dni siedziałem na dołku i kilka na celi, a tu zero kąpieli (jest jedna w tygodniu, akurat źle trafiłem), nie mogłem też nic kupić, wprawdzie po trzech dniach roboczych powinienem był iść na „wypiskę”, ale jakoś to umknęło tutejszym władzom. Wreszcie jednak udało mi się wyjść na wypiskę (na taką regulaminową) z pozostałymi zatrzymanymi. Jednym z głównych celów mojego zatrzymania była obawa matactwa i odizolowanie mnie od pozostałych współoskarżonych. Patrzę, a tu w kantynie jest szef „naszej grupy zorganizowanej”. Oczywiście zaraz udaliśmy się do kąta (nie za karę), gdzie objaśnił mi wszystko w „naszej sprawie” – powiedział mi, ilu jest podejrzanych i gdzie siedzą, i tym podobne. Wprawdzie poznaliśmy się grubo po zaistnieniu przestępstwa (kilka miesięcy), ale kogo to tak naprawdę obchodzi?

W końcu jednak wyładowałem na normalnej celi. Trochę się bałem tego wejścia, ale przecież na nic się nie ma wpływu, więc trzeba się pogodzić z rzeczywistością. Cella była czteroosobowa i mijałem się w klapie z kimś, kto ją właśnie opuszczał (dostał pracę w kuchni i siedł na celę dla pracujących). Zaraz po wejściu okazało się, że na tej celi znajduje się ów „ziomek”, który zadawał mi pytania

w samochodzie, kiedy jechaliśmy do aresztu. Rozpakowałem się na górnej półce i zaraz zapytałem się tegoż ziomka:

- Powiedz, o co ci chodziło z tym wypytывaniem o rodzinę?
- A naprawdę nie masz tu nikogo?
- Już ci raz mówiłem.
- OK. Po prostu mój, i nie tylko mój, główny, a raczej jedyny kapuś to niejaki Cyprian Muchomor, chyba nie dziwisz się, że pytałem?
- Teraz już nie.

Tak więc udało się bez zbędnych zgrzytów wyjaśnić sprawę do końca już na początku i w ten właśnie sposób poznałem się ze Staszkiem – złodziejem samochodów, studentem III roku psychologii.

Nie wiem, ile metrów miała cela, ale jej umeblowanie wyglądało w sposób następujący, od okna poczynając: dwie pary metalowych łóżek piętrowych, pomiędzy nimi trudno było przejść jednej osobie, dwie zaś nie mogły się minąć; dalej stał po jednej stronie niewielki stół, a za nim był tak zwany „kącik sanitarny” – z umywalką i toaletą, obudowany dyktą na wysokość niecałych dwóch metrów; kącik sięgał do drzwi. Tak więc miejsce do chodzenia znajdowało się tylko naprzeciw stołu i kącika, poza tym stały tam dwa taborety (dwa inne stały pod stołem), tak że o żadnym ruchu nie mogło być mowy. Czyli pozostaje leżenie w łóżku i godzinny spacer. Jeżeli ktoś nie potrafi dużo czytać lub w inny sposób na tak małej przestrzeni zagospodarować czasu, to jego wegetacja wygląda bardzo kiepsko.

Kolejnym mieszkańcem celi był dwudziestoletni Zbyszek (być może pomyliłem imię). Po dziesięciu minutach pobytu pod celą zaczęło mi się wydawać, że jest co najmniej lekko opóźniony w rozwoju, po godzinie byłem tego prawie pewien, zaś po dobie nie miałem już żadnych wątpliwości, że chłopak jest upośledzony umysłowo. Był oskarżony o kradzież jakiegoś samochodu, którego miejsce było raczej w Muzeum Techniki (bynajmniej nie z powodu jego unikalności) niż na drodze. Podczas tej kradzieży chłopcy (bo było ich chyba dwóch) jechali na pierwszym biegu (nie potrafili jeździć samochodem), a żeby sprawdzić, czy ktoś za nimi nie jedzie, zatrzy-

mywali się i wychylali przez okno, patrząc do tyłu (nie wiedzieli, że w aucie są lusterka i do czego służą). Zbyszka wychowywali dziadkowie, pochodził z tak zwanej „patologicznej rodziny”, praktycznie nie potrafił pisać i czytać (ciekawe, jak prokurator przedstawiał mu zarzuty), nie miał adwokata, w ogóle nie wiedział, o co chodzi. Kiedy dostawał jakiś list od babci (który trzeba mu było przeczytać), przez kilka godzin płakał, potem śmiał się, potem znowu płakał, i tak praktycznie cały dzień. W sumie miał ogromnie dużo szczęścia, że znalazł się pod taką, a nie inną celą (być może to nie szczęście, lecz świadome działanie służby więziennej?). Gdzie indziej jego los mógłby być tragiczny. Po sześciu miesiącach odsiadki prokurator też doszedł do wniosku, że jest on lekko niepełnosprawny i wypuścił go na wolność – czy zastanowił się, po co był ten areszt i jak zwichrował mu psychikę, ale kogo to właściwie obchodzi?

Czwartym pensjonariuszem był Gienek (też nie jestem pewien imienia), który zaszczycił tutejszy pensjonat swoją obecnością z tytułu kradzieży drzewa w lesie (to nie na pewno) i bójki z leśniczym (to już raczej pewne). Przyznać trzeba, że przybył do aresztu mocno pobity, ale to już, zgodnie z jego słowami, było zasługą władzy ludowej, która sama wstępnie wymierzyła mu sprawiedliwość. Podobnie zresztą było w przypadku Staszka, tylko że on prowadził dość długą batalię w prokuraturze (oskarżył konkretnych policjantów o pobicie) o sprawiedliwość w tej kwestii. Tak wyglądał początkowy skład naszej celi.

Spacerniak to był prostokąt otoczony wysokim murem, maszerowaliśmy wkoło po betonowym chodniku, w środku były chyba ze trzy ławki, gdyby ktoś w ciągu tej godziny się zmęczył. Akurat okno celi wychodziło na spacerniak (bo było ich kilka obok siebie) i pobliski las. Ponieważ znajdowaliśmy się na czwartym piętrze, widok na las był okazały. Jednym z głównych powodów odosobnienia w areszcie tymczasowym (podobno) jest obawa przed kontaktem z osobami przebywającymi na wolności. Dlatego też w pobliskim lesie znajdował się co chwila ktoś, kto chciał się skomunikować z jakimś pensjonariuszem. Nawoływaniom nie było końca. Na budynku, pod każdym oknem, znajduje się napisany numer celi, tak

żeby kontakt był ułatwiony (i żeby strażnicy nie wiedzieli, kto i do kogo mówi). Poza tym z okien wylatywały tzw. lotki i prawie zawsze lądowały za murem w lesie – to w przypadku braku kontaktu taki najbardziej prosty i prymitywny sposób. Wiadomo od zawsze, że podczas widzenia było można, można i będzie można się skontaktować ze światem zewnętrznym, i to bynajmniej nie dzięki tym osobom, które akurat do delikwenta przychodzą. To tylko obłuda tych, którzy argumentują fakt konieczności przebywania w areszcie, żeby izolować od świata zewnętrznego. Pierwszy rząd drzew w lesie (głównie sosen) miał pomalowane na czarno pnie (jakimś smarem), tak żeby nie można było wejść – to też oczywiście taka zabawa, bo i tak wchodzili, stosując różnego rodzaju podpory – a zabawa po to, żeby wszyscy mieli poczucie dobrze spełnionego obowiązku i nikomu nie stała się krzywda. Podobno latem (tego jednak nie widziałem, tylko o tym słyszałem) przychodziły różne ładne i ciekawe dziewczyny i skuteczniały pełny striptiz! Wtedy całą burtę ogarniało szaleństwo, ale jak tu się temu dziwić?! Niekiedy też policja przechodziła przez las i przeganiała odwiedzających, chociaż osobiście widziałem to tylko raz czy dwa.

Patrzysz się w lipo, leżysz na koju, czytasz (przeczytałem prawie całą tamtejszą bibliotekę – to tylko kilka półek w jednej szafie), myślisz, wokół ciebie przerażająca nuda i cały czas starasz się nie ześwirować. Niektórym się udaje. Chcesz za wszelką cenę choć trochę zorganizować sobie swój mały świat, tak żeby choć odrobinę przypominał ci normalność – robisz czajnik ze słoika po ogórkach, starasz się skądkolwiek przemyścić małą łyżeczką do kawy (by nie słodzić i nie mieszać dużą plastikową łyżką od obiadu), załatwiasz sobie szklanę (by nie pić z plastikowego kubka) i starasz się nie zawsze jeść, co ci serwują w tamtejszej kuchni. Ale tak naprawdę to nic nieznaczące namiastki, chociaż może to jednak właśnie ma znaczenie?

Raz na tydzień przysługuje nam kąpiel. Zaraz po rannym apelu (który jest o szóstej) Staszek „siadał na klapę”, że chcemy jako pierwsi iść do łaźni. Łaźnia to była przerobiona cela, w której było sześć pryszniców i drugie pomieszczenie na przebieranie się. Za jednym zamachem wchodziło dwanaście osób, teoretycznie pod jeden

prysznic powinny wejść dwie osoby, ale spróbuj się kąpać z miłym, młodym człowiekiem, całym wytatuowanym, o posturze Arnolda S., który właśnie nie chce się ruszyć spod prysznica? Już masz powód do zadry, a prysznic jest zamknięty. Zanim ktoś przyjdzie, jest już po temacie. Jednak niekiedy o wszystkim decyduje refleks i łut szczęścia – pierwszy zameldujesz się pod prysznicem, to może cię ktoś poprosi, żebyś się na chwilę (lub na zmianę) przesunął. I znów uda się uniknąć problemów, które mogą się pojawić zewsząd. Życie jest pełne pułapek.

Na spacer starałem się wychodzić zawsze, chyba że rzeczywiście mocno padało. Spacerniaki miały z jednej strony siatkę, za którą chodzili od czasu do czasu strażnicy. Poza tym „kogutkowy” też mógł widzieć część spacerniaka. Na spacer wychodziło na raz kilka cel, była to tak zwana grupa spacerowa (w takiej grupie nie mogły się znaleźć osoby mające tę samą sprawę, za którą je aresztowano). Jeżeli ktoś zostawał sam pod celą, to musiał przejść na ten czas do innej, bo samemu nie wolno było tam przebywać (podobno dlatego, żeby nikt się nie powiesił). Chodziliśmy sobie dookoła i staraliśmy się oglądać niebo. Razu pewnego dwóch gości z jednej celi od początku spaceru zaczęło dość ostro wymieniać poglądy. Raczej jeden nalatywał na drugiego, a siły, na pierwszy już rzut oka, nie były wyrównane. Już po chwili doszło do krótkiej bójki, to znaczy silniejszy okładał słabszego. Staszek szybko mi poradził, żebym podszedł do kraty (siatki) i patrzył się raczej, czy gad nie idzie i na pewno nie wtrącał się do tego, co się dzieje, bo to nie moja sprawa. W sumie nie wyobrażałbym sobie, żebym mógł się wtrącić, ale myślałem, że ktoś ich rozdzieli. Jeszcze kilka razy w ciągu tego spaceru dochodziło do wymiany ciosów i rozpaczliwej obrony. Pod celą właściwie nie da się bez poważnych kłopotów doprowadzić do bójki, więc spacerniak był doskonałym celem do wymiany poglądów. Nie były to całkiem częste zjawiska, ale nikt im nie zapobiegał i nikt ich nie przerywał. W czasie pierwszej wizyty u wychowawcy podpisywało się takie oświadczenie, że jest się w miejscu, gdzie może wystąpić podwyższona agresja i należy o jej wypadkach natychmiast powiadamiać władzę zwierzchnią. Ciekawe, gdzie byś się później schował, gdybyś rzeczywiście chciał powiadomić?

Wieczorami, po zgaszeniu światel, następowała gwałtowna wymiana informacji pomiędzy celami oraz pojawiały się inne rozrywki. Ci z nowo przybyłych, którzy dali się wkreślić, szczególnie zaś małodaty, śpiewali zadane im piosenki, opowiadali swój „pierwszy raz” i tym podobne historyjki. Dopóki nie było przypału, to taka opowieść mogła się ciągnąć prawie przez godzinę. W tym czasie odbywało się też najeżdżanie na kapusiów, pedofilów i innych, którzy jakoś się narazili. W owym czasie w Kielcach i okolicy panował gang „pompek”. Nazwa brała się stąd, że chłopcy byli mocno napompowani sterydami i większość czasu spędzali na siłowniach. Fama niosła, że są wśród nich dzieci osób wysoko postawionych w hierarchii miejscowej władzy. Z tego powodu, ale również dlatego, że byli bardzo brutalni i bezwzględni, nie cieszyli się wielką estymą w areszcie. Dodatkowo wpadali pojedynczo, więc pojedynczo znajdowali się w areszcie. Ponieważ taki, a nie inny był stosunek do nich, nie wychodzili na spacer (bo na spacerach cała burta by na nich jechała), dopiero wieczorami wyżywano się na ich temat. Bluzgi też trwały prawie godzinę – taka miła kołysanka i utulenie do snu. Pewnego dnia okazało się, że pucują się do nas, że to u nas jest pedofil i okazało się, że chodzi o Gienka.

– Przypucz się na lipo, jak do ciebie nawijają – powiedział Staszek.

– Po co? – pytał Gienek.

– Bo będą nam jechać cały czas.

– Ale ja nic nie zrobiłem takiego.

– To wyjaśnij to i już.

Oczywiście tej nocy nie dało się tego wyjaśnić, bo nikt w takie wyjaśnienia nie wierzy. Wprawdzie Gienek pokazywał nam „białko”, ale może coś jest nie tak? Nazajutrz Gienek nam powiedział, że pracuje tu jeden gad, którego ojca kiedyś Gienek dotkliwie pobił i ten teraz się mści, rozpowiadając o nim takie historie. Sytuacja ta była dość kłopotliwa i dla nas, bo mając pedofila pod celą trzeba go tępić, bo można podpaść pozostałym aresztowanym (po pierwsze), a poza tym słusznie mu się to należy (to po drugie, najważniejsze). Ponieważ Staszek znał tu bardzo wiele osób, wziął biało od

Gienka, dopisał wyjaśnienie i „wysłał” do poczytania. Wyjaśnienie zostało przyjęte, chociaż chyba pewien smród pozostał.

Jak już wspomniałem, prokurator doszedł do wniosku, że nasz małolat jest stuknięty i po sześciu miesiącach intensywnych przemyśleń wypuścił go na wolność. Pustka na celi nie trwała długo, bo musi być ruch w interesie. Trafił do nas Hubert. Był jedynakiem, miał tylko ojca i narzeczoną. Ojciec był właścicielem sporego warsztatu samochodowego, dużego domu, paru samochodów itd., itp. Oczywiście Hubert wraz z nim prowadził ten warsztat. Pewnego razu przyjechał do nich klient, żeby mu naprawili silnik w fordzie. Koszty naprawy (czy też wymiany – nie pamiętam) były dość spore. Naprawa została dokonana, klient przyszedł odebrać samochód. Stwierdził, że musi przed zapłatą odbyć jazdę próbną. Wsiadł do auta, odjechał i... tyle go widzieli. Po pewnym czasie (znaczy po kilku dniach) Hubert udał się do niego po zapłatę (wraz z dwoma kolegami). Klient wezwał policję, twierdząc, że Hubert wymusza na nim pieniądze. Potem przyznał się, że ma dług wobec warsztatu. Ojciec chciał dać cały swój majątek jako zabezpieczenie dla prokuratury, ale prokurator (i sąd) uznał, że miejsce Huberta jest w areszcie. Hubert (jak już wspomniałem) miał narzeczoną. Narzeczoną chodziła dwa razy dziennie na lipo, żeby z nim porozmawiać, ale głównie płakała. Niby przynosiła jakieś wiadomości, mówiła, co mają zdziałać adwokaci, ale tak naprawdę to zamiast go pocieszyć, to głównie płakała. Ojciec starał się wynająć najlepszych adwokatów, ale nie przynosiło to pożądaných efektów.

Tak na marginesie, w tak zapewne niecywilizowanym kraju jak Stany Zjednoczone Ameryki, sądy uważają, że bycie przedsiębiorcą (nawet niewielkim) to oznaka odpowiedzialności, kreatywności i wielu innych pozytywnych cech. Mając to na uwadze, nie orzekają przeciwko nim izolacyjnych środków zapobiegawczych, gdyż szkodzi to pracownikom, gospodarce jako całości, a efekty tego środka prawie zawsze są mierne. Cóż, w naszej Arkadii są najtęższe umysły prawnicze i wiedzą zdecydowanie lepiej.

Sprawa adwokatów jest zresztą dość ciekawa. Opinie na ich temat w areszcie były dość zróżnicowane, chociaż raczej negatywne. Oczywiście mnie też rodzina załatwiła adwokata (i chwala im za

to). Adwokat przyszedł do mnie i zaczął trochę rozmawiać o sprawie, ale zaraz przeszedł na temat mojego zdrowia i bardzo szybko spytał, czy z moją głową wszystko w porządku, bo on by mnie mógł stąd wyciągnąć na taki stan zdrowia. Oczywiście, póki co, z moją głową wszystko w porządku i nie miałem zamiaru nic kombinować w tym kierunku, więc ustaliliśmy, że porozmawia z moją żoną i ustali co trzeba. Opinia na jego temat była raczej dobra (choć nie do końca), ale moja żona stwierdziła, że po pierwsze okłamuje ją na temat tego, co robi, a po drugie chciał kasy „co łaska” – to znaczy zobaczymy później, więc dość szybko z niego zrezygnowaliśmy. Pomyślałem sobie, że jeżeli to jest jeden z najlepszych tutejszych adwokatów, to moja tutejsza perspektywa pobytowa może okazać się bardzo długa. I w taki oto sposób chwilowo sprawa adwokata okazała się nieaktualna.

W celach obok dość szybko zmieniali się lokatorzy, siedzieli tam jacyś klienci za różne naprawdę głupstwa, więc mieli perspektywy na szybkie wyjście. Każdy, kto wchodził, miał postanowienie o tymczasowym aresztowaniu, na które przysługiwało mu odwołanie w terminie siedmiodniowym. Oczywiście zdecydowana większość z nich nie miała o tym bladego pojęcia, ale od czasu do czasu razem ze Staszkiem pomagaliśmy pisać te odwołania. Nadszedł listopad i znowu pojawił się jakiś nowy klient na celi obok, o wyglądzie lekko przypominającym gościa spod budki z piwem. Ale na spacerze zaoferowaliśmy się napisać mu to odwołanie, więc mówimy mu:

– Ziomek, zajedź to postanowienie, to szybko napiszemy ci odwołanie, może wyjdiesz?

– Ale po co?

– No jak to po co? – zapytałem.

– Chłopie, teraz to mi się już nie opłaca. Zima idzie, wszystkie miejsca zajęte, gdzie ja teraz pójdę – pod most? Na wiosnę napiszesz!

No i tu zmieniła się optyka mojego spojrzenia na pobyt tutaj niektórych osób. Ten wyżej wspomniany dostał nowe buty i skarpetki, wykąpał się i był zadowolony ze swej aktualnej pozycji. Jakiż można mieć dziwny punkt widzenia. Nie dla wszystkich pobyt tu-

taj był tragedią i prawie końcem świata, niektórym bardzo mało potrzeba do namiastki szczęścia.

Po pewnym czasie przyszedł do mnie kolejny adwokat (wiele zawdzięczał żonie). Ten jednak był zupełnie inny. Zadał konkretne pytania i uczciwie przedstawił sprawę. On też cieszył się dużą estymą w areszcie i był uznawany za bardzo dobrego mecenasa. Ale pod całą panowała generalna opinia, że z aresztu się nie wychodzi. Może na sprawie, może do uprawomocnienia się wyroku, ale nie ma na co liczyć, i tej wersji najlepiej się trzymać, wtedy łatwiej jest siedzieć. Oczywiście to proste tak mówić, ale jeżeli na wolności ma się rodzinę, małe dzieci, to sytuacja nie jest komfortowa. Na szczęście okazało się, że prokurator kończy śledztwo i lada dzień otrzymamy akta do czytania, co też niebawem nastąpiło. Akta odczytywaliśmy wszyscy razem (poza kapusiem) w sali, gdzie normalnie odbywały się widzenia. Już nie pamiętam, ile było tomów tych akt, ale na czytanie mieliśmy dwa dni. Takie wspólne czytanie (często na głos) polegało głównie na tym, że nabijaliśmy się z co celniejszych wypowiedzi współoskarżonych i świadków, a tak naprawdę nikt gruntownie ich nie przejrzał. Mnie dotyczyły fragmenty w jednym czy dwóch tomach, więc mogłem sobie to dokładnie przeczytać. Za kilka dni mieliśmy pojechać do prokuratury, podpisać zakończenie śledztwa. Zaraz z rana wzięli nas do sieczkarnika, a po chwili podjechał samochód, który miał nas zawieźć do prokuratury. I tu nastąpiła mała niespodzianka: zapakowali nas razem do samochodu, razem z kapusiem. Zanim zdążyliśmy ruszyć, już nastąpiła mała scysja pomiędzy nami a nim. Nie wiem, czy celowo, czy przez pomyłkę (wątpię) zabrali nas razem. Czyżby nikt nie lubił kapusiów? Nawet policji i prokuraturze po śledztwie są zbędni? Jakoś udało nam się jednak dojechać do prokuratury, wszyscy cali i zdrowi. Tam już posadzono nas w osobnych pokojach, to znaczy kapuś poszedł do innego niż my. Po przyjeździe okazało się, że pana prokuratora nie ma i nie będzie przed czternastą, bo jest w sądzie. No to siedzieliśmy i czekaliśmy. Prokurator przybył około piętnastej i zajął się swoimi sprawami. Minęły chyba jeszcze ze dwie godziny tej beczynności. Na szczęście do jednego z nas przyszedł adwokat, który zakupił nam kanapki. Ale w końcu konwojujący nas policjanci troszkę się

zdenierwowali i jeden z nich poszedł i opieprzył (!) prokuratora, że gdyby wiedzieli, że to tyle potrwa, to wzięliby dla nas wyprowiantowanie, że to oni są za nas odpowiedzialni i żeby wreszcie zajął się tym zakończeniem śledztwa! Ponieważ to słyszeliśmy, to prawie szczeka nam opadła! No, ale dzięki temu prokurator nas dostrzegł i zaczął z nami czynności. Było to na przełomie października i listopada. Pamiętam to dokładnie, bo miałem ze sobą wniosek o uchylenie aresztu. Wniosek był umotywowany głównie tym, że w związku z zakończeniem śledztwa wszystkie przesłanki dotyczące mojego aresztowania upadły, a okoliczności związane z nadmierną szkodliwością stosowania wobec mnie aresztu dla mnie i mojej rodziny są oczywiste, a maksymalna kara, która może mnie czekać, to trzy lata. Koniec wniosku był taki (mniej więcej): nie bez znaczenia jest również fakt, że trzeciego listopada brat mój obchodzi urodziny, a w Katowicach jest jedyny koncert zespołu Deep Purple, na który to obiecałem go z tej okazji zaprosić. Około osiemnastej prokurator był łaskaw mnie przyjąć i dać mi do podpisania dokument o zakończeniu śledztwa. W sumie trwało to trzy minuty (nie można było tego szybciej załatwić?) i zaraz powiedziałem, że mam wniosek o uchylenie aresztu. Prokurator szczerze i uczciwie odpowiedział mi, że i tak mi nie uchylą, bo nie może (niby dlaczego?), a przedłuży to tylko moment oddania aktu oskarżenia do sądu. Doszedłem do wniosku, że to rzeczywiście nie ma sensu, a w sądzie zawsze są jakieś większe szanse. W zamian za to (może) prokurator dał mi korespondencje z domu bez cenzury (co za gest!). Zanim załatwił nas wszystkich i zanim wróciliśmy do aresztu, była dwudziesta druga. W taki właśnie sposób wygląda praca prokuratury i szybkie i sprawne śledztwo – coś, co mogło trwać godzinę, trwało cały dzień od rana do wieczora, ale kogo to właściwie obchodzi? W czasie powrotu nie doszło już do żadnych scysji i szczęśliwie dotarliśmy na Piaski. Z ciekawostek dodam jeszcze, że w akcie oskarżenia były załączone wycinki z lokalnych gazet o sprawie. Skąd dziennikarze dowiedzieli się o sprawie? – przecież to policja odkryła tę sprawę! Mogli tylko z dwóch źródeł – z policji lub prokuratury, i tylko stamtąd uzyskali informacje. A następnie napisali na tej podstawie artykuły, które z kolei prokuratura zamieściła w aktach. Kilka dni

później z głośnika, znajdującego się w celi (betoniara); głośnika, z którego puszczano jakiś lokalny program radiowy, dowiedziałem się, że akt oskarżenia przeciwko „naszej grupie” został skierowany do sądu. Dopiero nazajutrz dowiedziałem się tego z pisma prokuratury. W związku z zakończeniem śledztwa adwokat robił więcej nadziei, ale podchodziłem do tego z dużą dozą ostrożności.

Pod celą życie toczyło się bez zmian. Hubert po zmroku siadał na lipo i rozmawiał z narzeczoną, która nadal głównie płakała; Staszek co jakiś czas otrzymywał wnioski o porównanie jego odcisków palców w związku z kolejnymi kradzieżami samochodów (czyżby tylko on kradł samochody w Kielcach i okolicy?); Gienek opowiadał, ile to drzewa z lasu wywieźli i co z nim zrobili (jeszcze trochę i miałbym ochotę zostać stolarzem). Tak więc sytuacja była bez zmian. Nie mieliśmy telewizora pod celą, bo już wielokrotnie odmawiano Staszce zgody na jego otrzymanie w tutejszym areszcie. Postanowiliśmy razem napisać długie pismo o konieczności posiadania telewizora pod celą i w końcu jego dziewiąta (!) prośba została uwzględniona. Telewizory przyjmowano tylko raz w tygodniu (chyba w czwartki), a poza tym kilka dni trwało sprawdzenie, czy nie ma w nim jakiś dodatkowych urządzeń. W końcu jednak dostaliśmy szkiełko pod celę. Cały dzień trwało łapanie programów i ustawienie telewizora w odpowiednim miejscu, bo grube mury troszeczkę zakłócały wątłą antenę z telewizora (żadnych innych nie można było mieć, a zbiorczej anteny nie było). Na niektórych programach głównie padał śnieg, ale kilka dało się oglądać. Na moje nieszczęście pozostali współspacze oglądali w telewizji wszystko, łącznie z brazylijskimi, argentyńskimi i wenezuelskimi serialami, często dwa razy na dzień te same odcinki! Im wprawdzie szybciej mijał czas, ale ja już nie mogłem się skupić na czytaniu. Ale takie jest życie i trzeba się z tym pogodzić. Zanim się pojawił telewizor, zdarzało nam się zagrać w karty, najczęściej w tysiąca. Później jednak się to nie zdarzało. Przerażająca jest siła telewizji. Całe szczęście, że prokurator, a później sąd wyrażał zgodę na widzenia z rodziną, bo to była jedyna rzecz, która mogła podtrzymać na duchu. Pod celą nie było żadnej nadziei.